

**Wspomnienie.**

— Lammerlette! On mię pyta, czy znam Lammerlette'a! — woła mój stary przyjaciel, malarz Mandruc. — Czyż nie wiesz, chłopie, że on i ja przez trzy z górą lata prowadziliśmy wspólne gospodarstwo?

Mieliśmy wówczas po dwadzieścia lat. Tak, tak! Dawne dzieje, jakkolwiek się nam wydaje, jak gdyby to wczoraj było!

Przeszłość tak napozór bliska, a jednak tak daleka!

Mieszkałiśmy przy ulicy Véron w małym atelier za trzysta franków, rozbrzmiewającym od rana do wieczora pieśniami naszymi, w którym pracowaliśmy o jednym modelu i graliśmy się przy jednym kominku.

Sowizdrzał był z niego co niemiara, lecz byliśmy w tym cudownym wieku, w którym się żyje... dla życia. O, cudzie młodości!

Urwał i pędłem zrobił refleks świetlny na wardzie św. Hieronima, którego właśnie malował.

— Czy ci kiedykolwiek opowiadałem przygodę z zegarem? Warto jej posłuchać!

— Byliśmy właśnie w kłopotach materialnych, gdy ojciec Lackmeyer przyszedł do nas w odwiedziny. Lackmeyer był to stary przekupień z Montmartre, kupujący i sprzedający wszystko: od fałszywego Rembrandta do zużytych szczypiec do rwania zębów.

Chodząc po atelier przyglądał się w milczeniu aktom, studjom i szkicom zdobiacym ściany i w końcu odezwał się:

— Wszystko razem wzięte, funta kłaków nie warte, do niczego nie zdadne. Marne obrazy. Ale poczciwy ze mnie czelczyzna, a przytem... cóż to? darmo wdrapałem się tutaj?

— Me chcecie za cały ten kram?

— Dwieście franków — rzecze Lammerlette.

— Dwieście franków? Ja daję osiemdziesiąt.

Zgodziliśmy się.

Trzeba grosze, które nam z nieba spadły pożytecznie użyć.

Dziś poniedziałek zapustny, jutro bal w gmachu operowym! Na to pójdą pieniądze!

Usłyszawszy słowo „bal“ ojciec Lackmeyer przyjrzał się nam uważnie.

— Świetna myśl — zawołał — szczęśliwie się dla was składa. Mam bowiem całą kolekcję wspaniałych kostiumów, które leżeć na was będą jak ułan.

Odstąpię je wam za parę groszy, gdyż rad jestem usłużyć wam.

Z miejsca sprawę załatwiliśmy. Lackmeyer wziął obrazy nasze na plecy i poszliśmy z nim do jego magazynu.

Wybrane po długim szukaniu kostiumy były w opłakanym stanie, każdy wart nie wyżej trzydziestu sous.

Ale Lackmeyer nie chciał ich odstąpić niżej idwudziestu franków za sztukę.

Zapłaciliśmy mu przeto czterdzieści franków, wróciliśmy do swej izdebki, skacząc z radości na myśl o jutrzejszej zabawie.

Nazajutrz o godzinie 8 z rana dzwonek u drzwi obudził mię. Wstałem ostrożnie, by nie zbudzić Lammerlette'a (dzieliłiśmy się bowiem łóżkiem, jak wogóle wszystkiem). Otworzywszy drzwi ujrzałem przed sobą inkasenta, który mi podał papier.

Przeczytałem:

„Paryż, dn. 1 grudnia 1890 r.

„1 marca 1891 r. zapłać panu Matraque, krawcowi lub jego zastępcy dwadzieścia pięć franków za parę spodni.

**Teodor Mandruc**  
ulica Véron.

Patrzałem zgnębiony na nędzny kawałek papieru... brudny świtek, pełen stempli, i podpisów, który spadał na naszą zabawę jak wielki pajak na talerz bitej śmietany z konfiturami.

Skoro Lammerlette'owi powiedziałem o moim pechu, podskoczył niczym rakietą. Oświadczył mi, że nie miałem prawa wspólnymi pieniędzmi spłacać swego długu i że mi nigdy przemiewierstwa tego nie zapomni.

Siedzieliśmy potem przy śniadaniu, nie odzywając się do siebie, aż wreszcie, kiedy składałem serwetę Lammerlette przemówił:

— Przyznaj, Mandruc, że nieuczciwie postąpiłeś.

— Przyznaję — odparłem obojętnie.

— Masz jednak możliwość naprawy tego złego postępku. Zanieś swój zegar do lombardu. Będziemy mieli pieniądze na bilety i jeszcze z pięć franków ponadto.

— Kpisz sobie chyba ze mnie? Zegar, który mi matka na urodziny darowała? Zegar, który jest jedyną ozdobą naszego atelier?

— Nic nie szkodzi — wycedził sucho — zanieś go mimo to do lombardu.

Ton, z jakim huknąłem „nie“, przekonał go o mocy mego postanowienia.

Zdawało się, że poniechał niefortunnej myśli.

— Mandruc, zanieś zegar do lombardu — odezwał się nagle, dmuchnąwszy mi kłębam dymu papierosowego prosto w twarz.

Zamiast odpowiedzi, wzruszyłem ramionami.

Lecz Lammerlette nie dał za wygranę. Przysunął się do mnie z krzesłem przez dwadzieścia minut powtarzał bez przerwy głosem monotonnym jedno i to samo, od czasu do czasu zaledwie oddech chwytając:

— Mandruc, zanieś zegar do lombardu! Mandruc, zanieś zegar do lombardu! Proszę cię, zanieś zegar do lombardu, Mandruc! Mandruc, ja cię błagam, zanieś zegar do lombardu!

Nie było rady. Musiałem ustąpić.

— Dobrze, już dobrze — zawołałem — zastawię zegar, tylko przestań na miłość Boską, Lammerlette, albo cię uduszę!

Umilkł natychmiast.

Zawinał zegar starannie w gazetę, wpakował mi go pod pachę i nakazał pośpiech.

— Przy ulicy Fromentin znajdziesz najbliższy lombard — zawołał, gdy byłem już na schodach.

Szedłem ulicą Germain Pilon, gdy ktoś mi drogę zaszedł... Podniosłem głowę, ujrzałem... Zgadnij kogo? Moją matkę, moją matkę we własnej osobie, którą przypadek w te strony sprowadził. Prawda, co za los, co za nieszczęśliwy zbieg okoliczności!

Była jeszcze piękną wówczas, matka moja! Wyglądała bardzo młodo, mimo dość zaawansowanego wieku. Pełna energii i siły woli, trzymała w ręku ojca i mnie. Mieliśmy respekt dla niej i baliśmy się jej, jak ognia!

Przechodnie mijali nas z uśmiechem na twarzy, widząc rosłego jak topola chłopca, stojącego ze zmieszana miną przed drobną kobietą, którąby mógł niemal w dwa palce chwycić, do kieszeni schować.

— Co masz pod pachą?

— Podręczniki naukowe — odparłem z istic bohaterką odwagą — okazynie kupione dzieje malarstwa w trzech tomach — kupiłem je na licytacji.

— Książki? — podchwyciła matka z radosnym zdumieniem — więc zmyśliłeś narzeczcie i pracujesz!

Zacząłem przedkładać, że rodzice mylą się bardzo co do mego charakteru, że jestem poważnym człowiekiem, pracuję systematycznie, planowo i t. d. i t. d.

W chwili największego rozpędu mej elokwencji, nagle... o zgrozo!... dzieje malarstwa pod moją pachą wybiły godzinę 3-cią! Matka spojrzała na mnie, ja na matkę. Patrzyliśmy sobie przez chwilę w oczy.

Do krośset! Czeakałem na policzek, wiedząc dobrze, że niezbyt lekką ma rękę.

Ale idiotyczny wyraz mojej fizys najwidoczniej rozbroił matuchnę.

— Zegar, który odemnie dostałeś?

— Tak, mamo.

— Ręczę, że niesiesz go do lombardu! Brak ci pieniędzy?

— Tak, mamo.

— Masz sto franków. Czy ci wystarczy narazie?

W pięć minut potem wpadłem jak bomba do atelier.

— Lammerlette — wołałem — oto sto franków i zegar!

Lammerlette nic nie rozumiał. W trzech słowach objaśniłem go. Wzięliśmy się za ręce i dalejże tańczyć z radości niczym Indjanie i wołać na całe gardło:

— Niech żyje ojciec Lackmeyer!

— Niech żyje mama Mandruc!

— Niech żyje młodość!

Mandruc zamilkł i cofnął się o parę kroków, aby spojrzeć na obraz. Ale myśli jego były daleko w gonitwie za wspomnieniami. Usta zaś szeptały:

— Młodość! Młodość! Gdzie jest młodość moja?

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 23 stycznia 1927 roku

Nr. 4.

**Łodzianie w murach Wiecznego Miasta.**

W dniu 19 grudnia r. ub. wyjechała do Rzymu grupa łodzian na uroczystość, związaną z kanonizacją św. Stanisława Kostki z racji 200-lecia. Wycieczka ta, na czele z J. E. ks. biskupem Tymienieckim uzyskała audiencję u Ojca Świętego. Zdjęcie powyższe przedstawia wycieczkę oraz księży-Polaków, pozostających na wyższych studiach teologicznych w Rzymie bezpośrednio po audiencji u Ojca Świętego w murach Watykanu na placu Damazego.

## Teatralja

Trochę statystyki i — humoru. — Operetki też bankrutują. — Nowy dramat G. Hauptmanna. — Z teatrów włoskich.

Jeden z dzienników warszawskich zajął się obliczeniem statystycznym „ruchu premier” w teatrach stołecznych w roku kalendarzowym 1926. Według skrupulatnego rachunku, w tym okresie teatry miejskie i prywatne wystawiły ogółem 61 nowych sztuk, z czego aż 41 przypada na twórczość obca, a tylko 20 na rodzimą. Procentowy stosunek sztuk polskich w porównaniu z rokiem 1925 wykazuje znaczny spadek; mówią o tym odpowiednie cyfry, mianowicie 32,79 proc. i 43,55 proc.

Największą ilość premier dał Teatr Letni, ogółem — 15, z czego obcych 12, polskich tylko 3; Teatr Narodowy — premier 14, z czego polskich 8, obcych 6; Teatr Polski — 10 premier, polskich 2, obcych 8; T. Mały — 12 premier, polskich 2, 10 obcych; Teatr Cwiklińskiej — 5 premier, z tego 1 polska, 4 obce. Ten ostatni teatr rozpoczął jak wiadomo, swą działalność dopiero we wrześniu r. 1926.

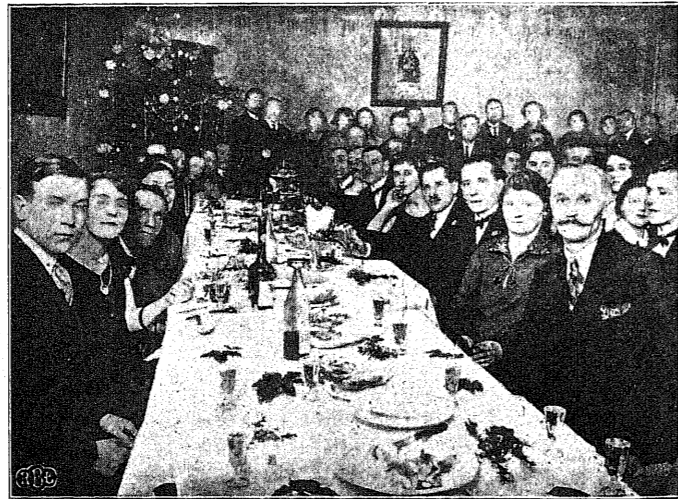
Statystyka powyższa jest bardzo wymowna i pouczająca. Szereg skromnych cyfr reweluje z całą jasnością prawdę o stałym postępowaniu twórczości polskiej we wszystkich niemal teatrach warszawskich. Dzieje się to bynajmniej nie dlatego, by twórczość ta cierpiała na zanik i uwiad. Momentem natomiast decydującym o daleko posuniętej rezerwie i nieumności dyrektorów teatrów w stosunku do pisarzy polskich jest głównie świadomość zadziwiająco obojętnej, by nie powiedzieć — wprost niechętniej postawy publiczności wobec utworów nieimportowanych oraz z tej świadomości płynący względ na bardzo realne i zrozumiałe wymagania kasowe.



Delegacja Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich z ks. patronem Rybusem na czele na placu św. Marka w Wenecji w drodze do Rzymu.



W dniu 16 b. m. koło amatorskie młodzieży Sodalicii Marijskiej staraniem Schroniska Parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w sali przy ul. Drewnowskiej Nr. 72 wystawiło obraz sceniczny p. t. „Ofiara Izaaka” oraz „Jasełka” w 7-ii aktach na cele schroniska. Zdjęcie przedstawia jeden z obrazów.



Tradycyjny „Oplatek” w Towarzystwie Śpiewaczym „Lira”, urządzony w lokalu przy ul. Przejazd Nr. 34. Członkowie i ich rodziny za stołem biśiadnym z prezesem Towarzystwa p. Adamskim na czele.

Na upodobania i potrzeby dzisiejszej widowni warszawskich teatrów dość jaskrawe światło rzuca fakt następujący, podchwycony może nieco złośliwie, ale tem niemniej zupełnie prawdziwy. W „Uśmiechu losu” Perzyńskiego (o komedji tej pisaliśmy niedawno) gwoli atrakcji wprowadzono scenę, w której uroczą p. Majdrowiczówna przymierzała coram publico — sukienkę. „Sensacja” ta wywoływała wiele „podniosłych” wzruszeń w teatrze, a byli podobno i tacy, którzy dla tego jedynego „efektu” oglądali „Uśmiech losu” po parę razy. Po pewnym czasie efekt neglizyowy uznano jednak, całkiem słusznie, za zbyt czyny, zaś scenkę tę zmodyfikowano, zamieniając przy mierzanej sukienkę na płaszczyk. I oto okazało się, że z chwilą tej reżyserskiej reformy frekwencja publiczności na sztuce p. Perzyńskiego w uderzający sposób zmalała. Wszystkko to komentarzy nie wymaga. Wolno natomiast zapytać: czy opłaca się rzucać perły literatury dramatycznej przed — widzów, którzy, idąc do teatru, w pierwszej lepszej komedji nawet szukają jedynie łóżka, neglizów i tego rodzaju „podniecających” momentów?... Odpowiedź na to pytanie stanowić może niezłe pendant do konkluzyj statystycznych, podanych nieco wyżej.

Jak wiadomo, losy operetki czy operetek warszawskich są od paru lat bardzo zmienne i niewesołe. Dokonane ostatnio artystyczne przymierze prymadonn Messalówny i Niewiarowskiej i objęcie przez ten duummulierat (rodzaj żeński od duumvirat) teatru na ulicy Bielańskiej rokuje nieco lepsze nadzieje. Ale narazie przyszłości przesądzać nie chcemy. Chcemy natomiast wskazać na to, że i w Niemczech, gdzie nie brak ani kompozytorów, ani aktorów, ani publiczności, ani tradycji operetkowych — lekka muza chudnie coraz bardziej, a nawet coraz częściej zdradza objawy krwawego wyczerpania - finansowego. Ostatnio wielką sensację wywołało bankructwo przedsiębiorstwa operetkowego J. Gilberta (znany kompozytor), który dążył do skupienia w swem ręku niemieckich teatrów operetkowych. Po kolei robiły kłapę teatry Gilberta w Hamburgu, Mannheimie, Frankfurcie itd. Ostał się jedynie teatr w Dreźnie, zapewne też tylko do czasu. Ofiarą krachu „króla operetki” padli przede wszystkim aktorzy, następnie zaś dostawcy kostiumów, dekoracji itp.

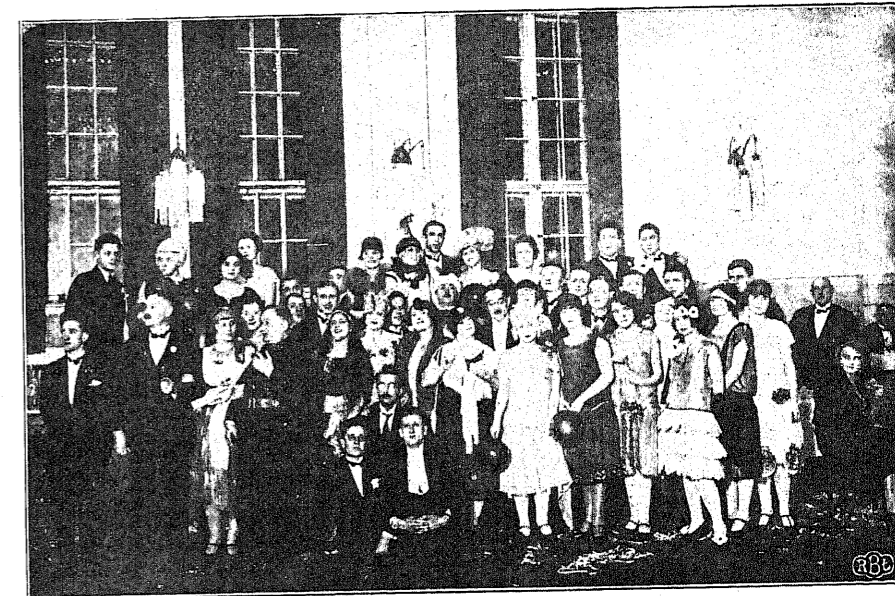
Duże zainteresowanie i niemiejszy sukces wywołała wystawiona niedawno w Wiedniu najnowsza sztuka Gerhardta Hauptmanna, p. t. „Dorota Angermann”. Dramat ten wystawił znakomicie Reinhardt w Josephstadttheater, z udziałem Dagny Servaes, Kayslera, Homolki w rolach głównych, w kostjumach i dekoracjach z lat 80-tych ub. stulecia. Jednocześnie z premierą w Wiedniu odbyły się premiery sztuki Hauptmanna w paru miastach niemieckich; w Berlinie zaś wystawi ją wkrótce Reinhardt ze swoim zespołem wiedeńskim.

Oto w krótkich słowach treść „Doroty Angermann”: Dorota, córka śląskiego pa-

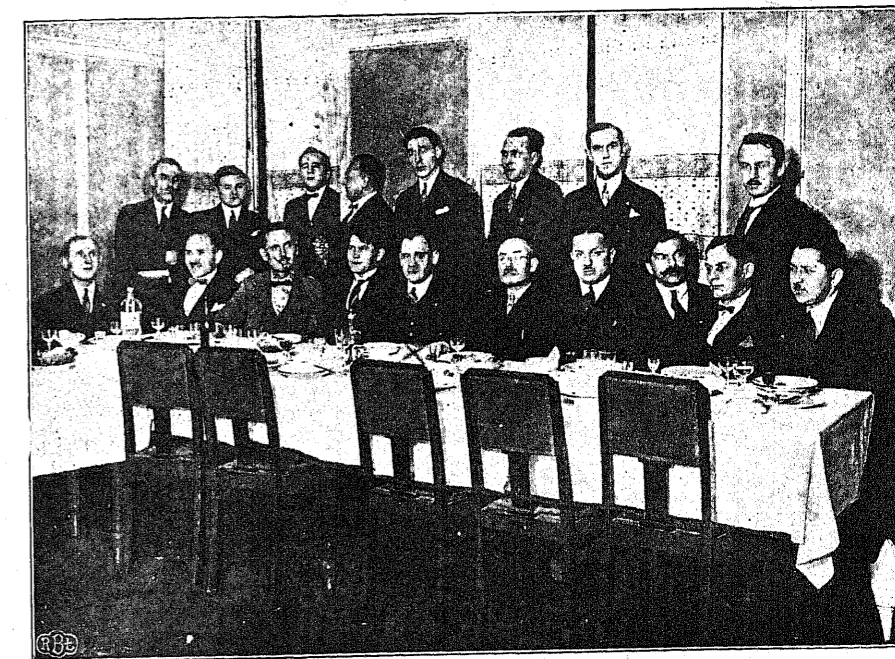
stora i naręczona młodego docenta uniwersytetu, pada ofiarą zwierzęcych chuci kucharza swego ojca. Surowych zasad pastor doprowadza do małżeństwa brutalą z jego ofiarą, poczem małżonkowie wyjeżdżają do Ameryki. Tu Dorota wskutek niekczemności swego męża, stacza się coraz niżej w otchłań nędzy i upodlenia. Spotkany przypadkiem były naręczony stara się ratować Dorotę z sytuacji, w jakiej się znalazła, napróżno jednak, gdyż nieszczęśliwa istota nie ma dość siły woli, aby porzucić męża - nikczemnika i wyzwoić się z pod jego brutalnej przewagi. Tu następuje drugi punkt zwrotny w życiu Doroty, która po paru jeszcze przejściach powraca do kraju i umiera wkrótce w domu przyjaciół w ja-

kiejś wiosce pod Hamburgiem. Sztuka o podkładzie mocno realistycznym napisana jest z siłą i talentem, właściwymi dramaturgowi tej miary, co G. Hauptmann.

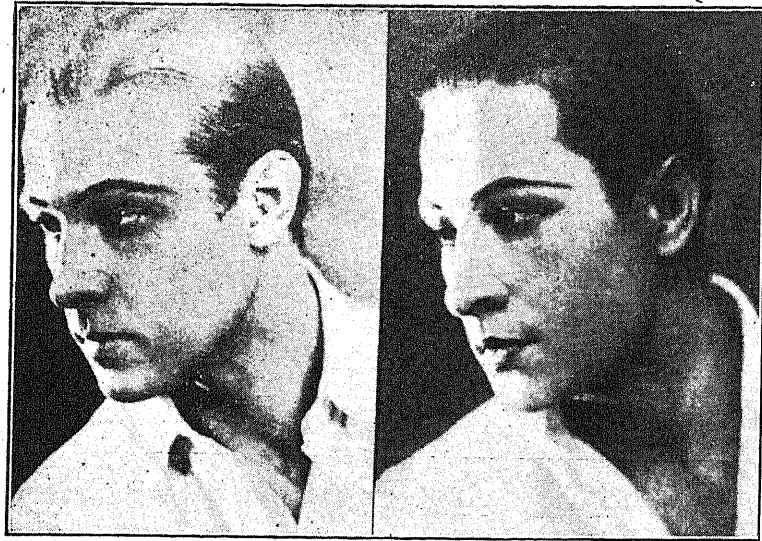
Słynna medjolańska „La Scala” wystawiła w tych dniach nową operę kompozytora włoskiego Arrigo Pedrolli p. t. „Zbrodnia i kara”. Libretto wykreślił z powieści Dostojewskiego poeta Forzano (autor granego w Warszawie „Daru poranka”). Muzyka jednak nie wspólnego z motywami rosyjskimi nie ma, zdradzając natomiast włoską szkołę autora. Zalety muzyczne opery i bardzo zręcznie szarmonizowane z partyturą libretto zapewniły „Zbrodni i karze” gorące przyjęcie publiczności medjolańskiej. **Delta.**



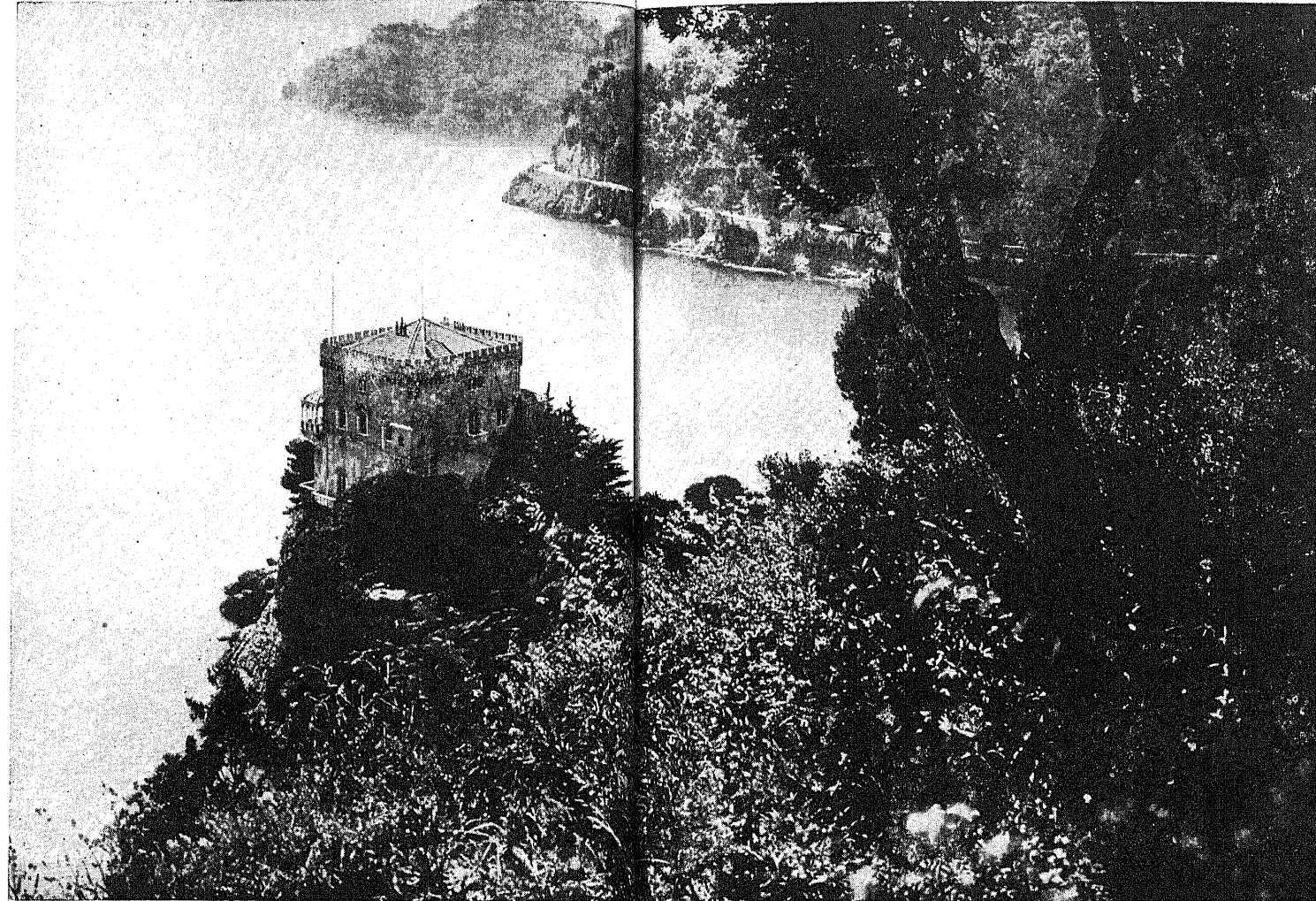
Bał maskowy Łódzkiego Oddziału Rosyjskiego Towarzystwa Dobroczynności w Polsce.



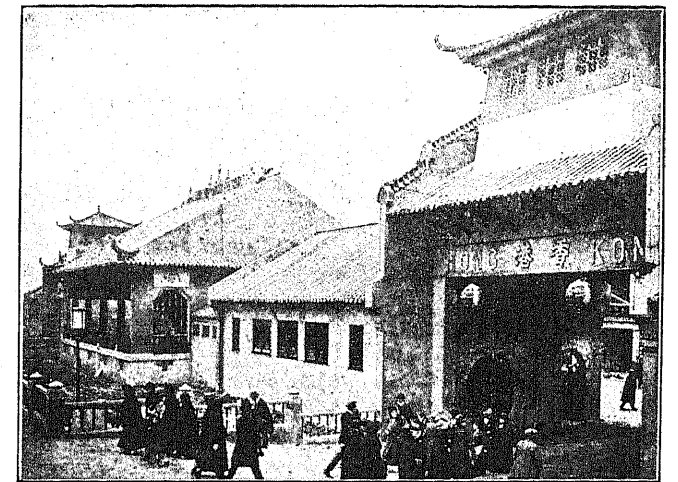
W ubiegłym tygodniu Łódzki Klub Sportowy urządził pożegnalny bankiet na cześć opuszczającego Łódź trenera Klubu p. Lajosa Ceislera. Zdjęcie przedstawia członków Klubu Ł. K. S. w czasie bankietu w restauracji „Tivoli”.



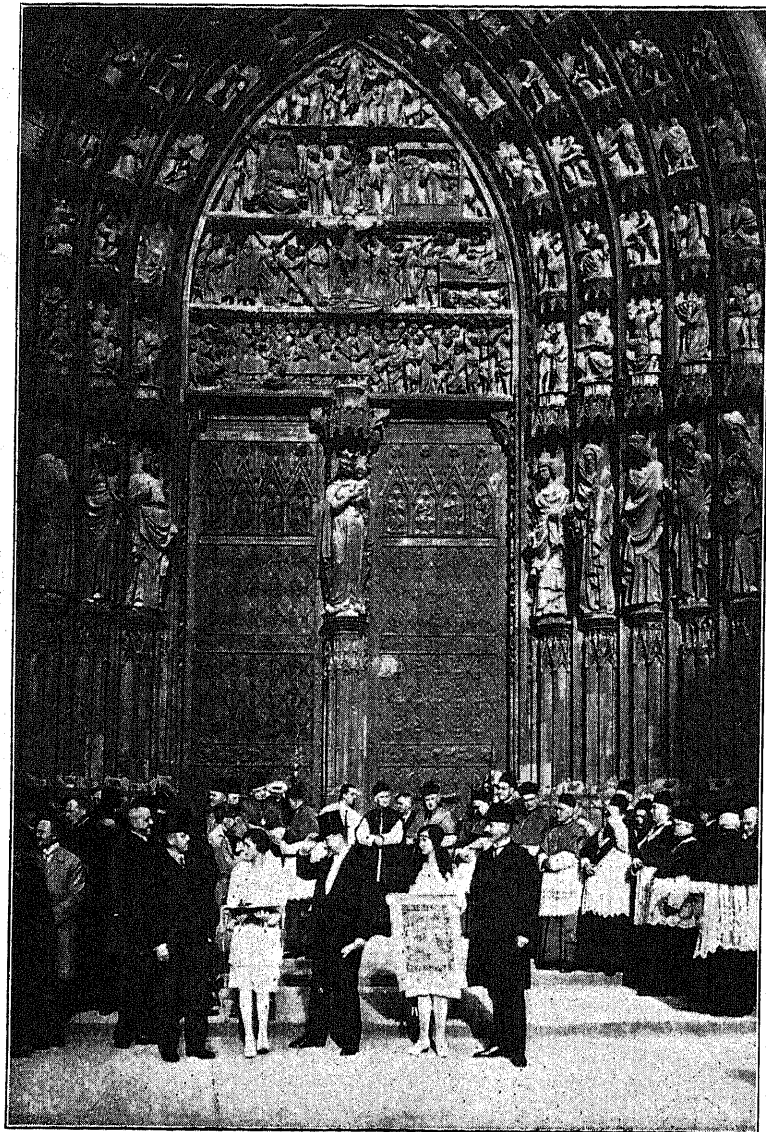
Sobowtór Rudolfa Valentino. Łudząco podobny jest do zmarłego przed niedawnym czasem wszechświatowej sławy tego artysty filmowego Węgier, niejaki Midzentby. Podobiznę jego przedstawia zdjęcie drugie.



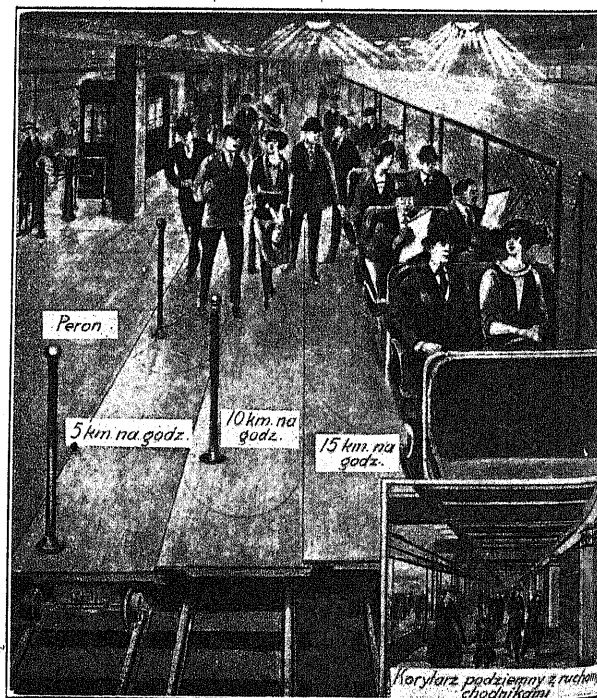
Portofino — to ulubiona miejscowość spragnionych wypoczynku, zonych wielkomięskim gwarem rodzin arystokratycznych całego świata. Uroczy ten zakątek świata na włoskiej Rivierze ściąga rokrocznie lych miłośników piękna natury. Zdjęcie nasze przedstawia fragment ma lowniczych w Portofino.



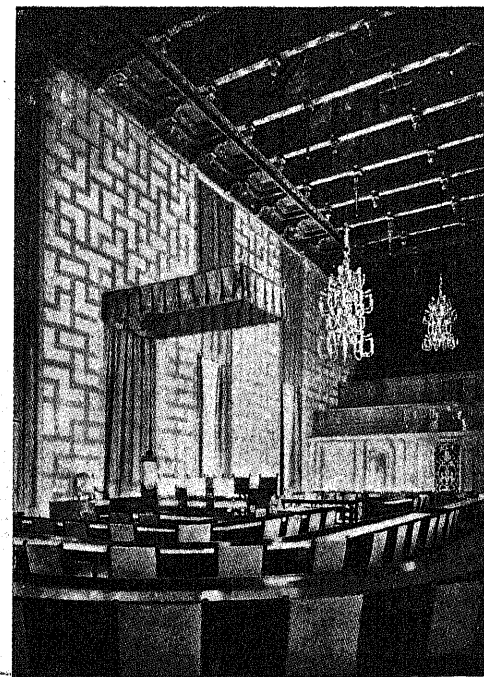
W państwie „Żółtego Smoka“. Charakterystyczne zabudowania jednej z najruchliwszych ulic chińskich w Hongkong.



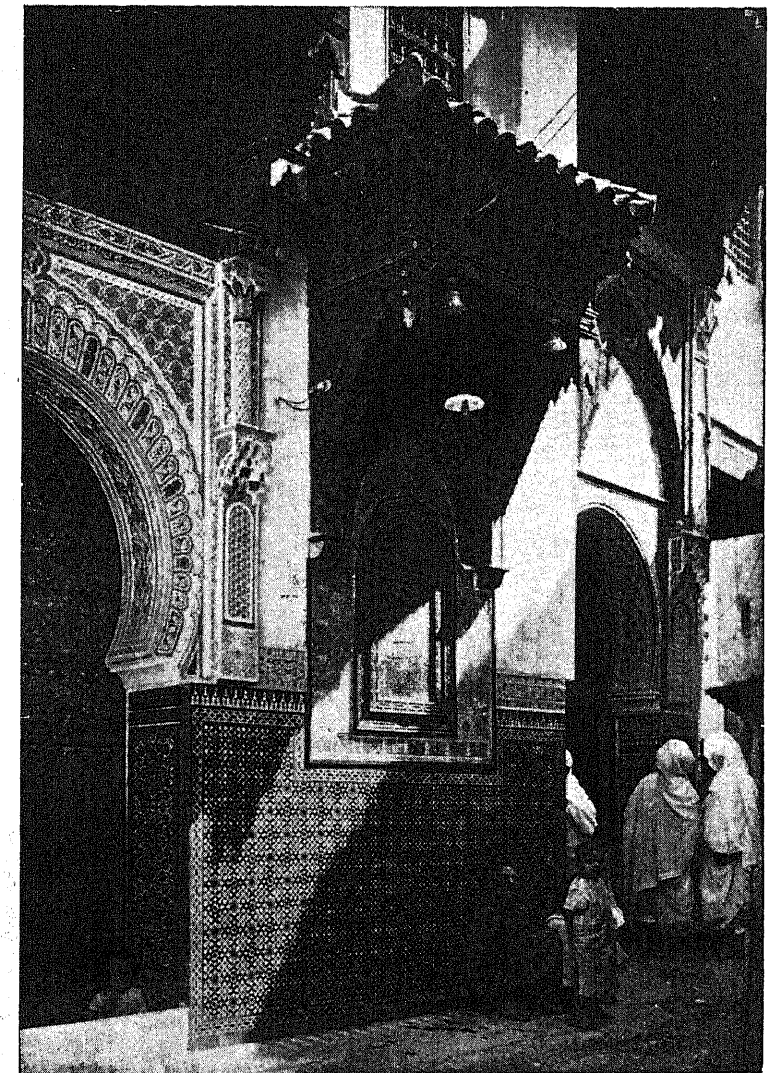
Starożytny kościół w Strassburgu oddawna zaniedbany, uległ ostatnio gruntownemu odrestaurowaniu. Świątynia została odnowiona do tego stopnia, że wywołuje wrażenie nowowypudowanego przybytku.



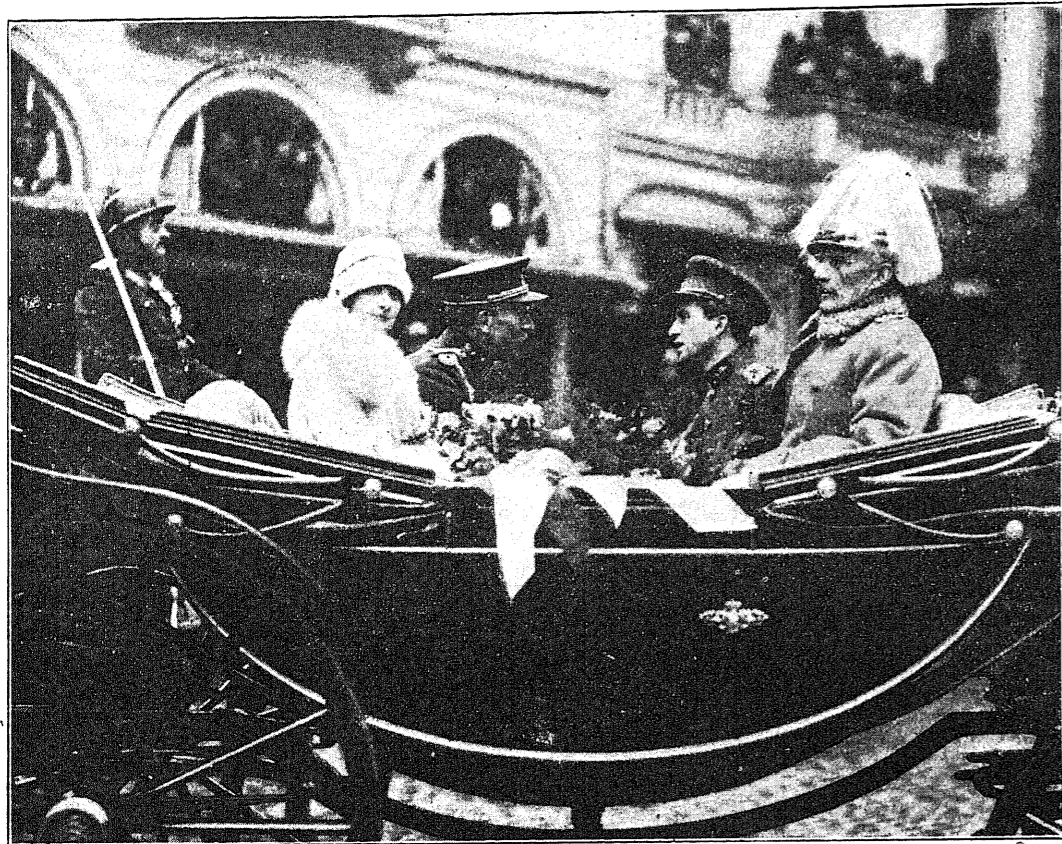
W podziemiach Paryża. Stacja ruchomych chodników, za których mieszkańcy Paryża odbywają drogę z jednej części miasta do drugiej. Zależnie od czasu drogę tę odbywają na szybciej lub powolniej, jakto wskazują specjalne napisy na chodnikach.



Fragment ratusza w Sztokholmie.



Stylowy budynek świątyni arabskiej w Jaffie, z bocznym wejściem do meczetu.

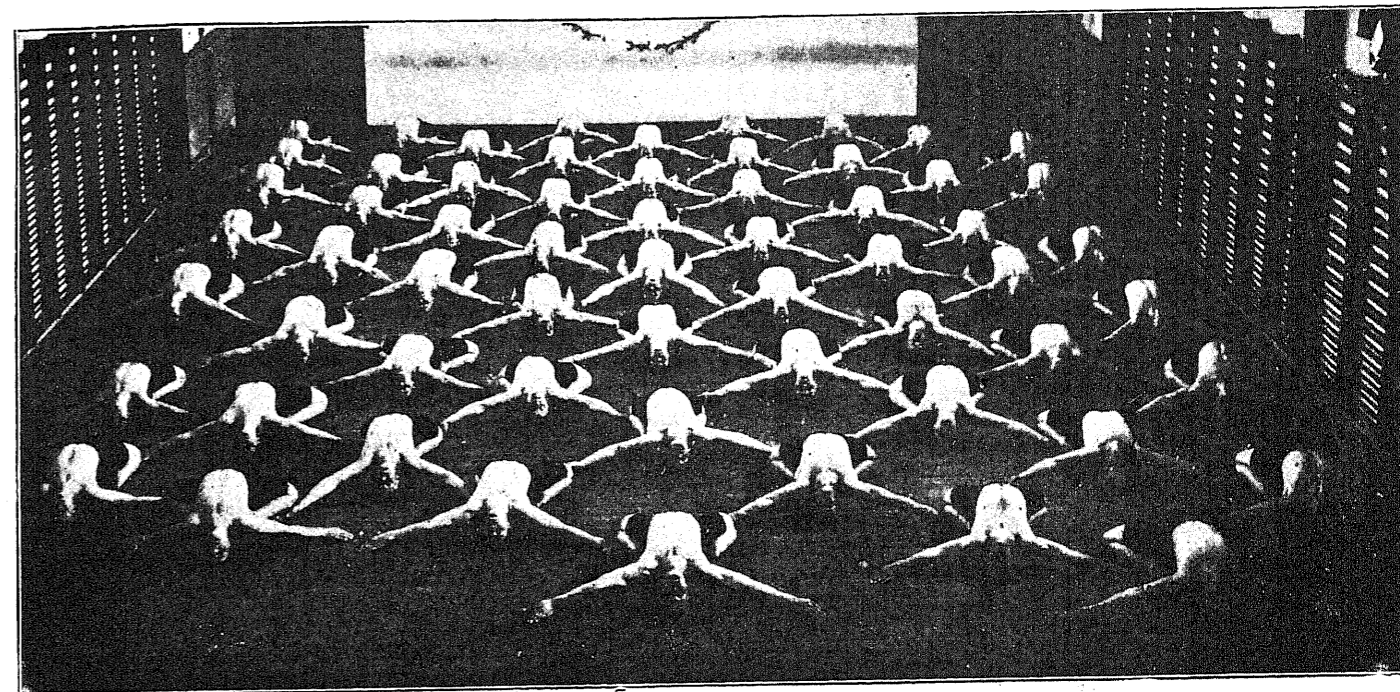


Przybycie następcy tronu belgijskiego z małżonką do Brukseli.

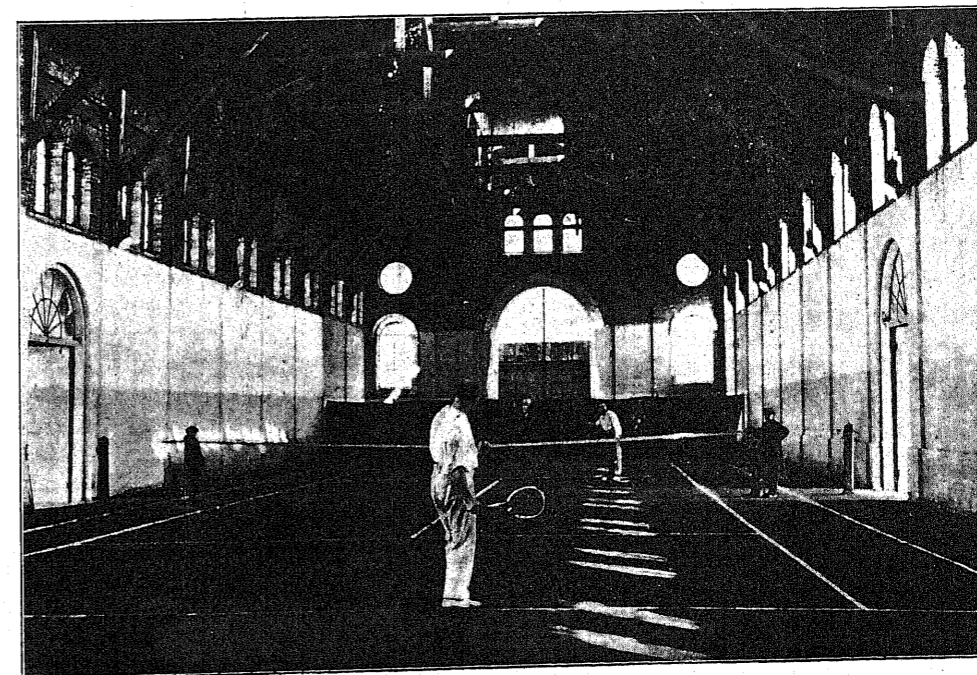


Różkosze morskie na Florydzie.

Ze sportu.



Słynna szkoła gimnastyczna w Ollerup w Danji.



Kryte hale tenisowe w Warszawie.



Firpo przy treningu.



IW. JEWDOKIMOW.

## Film na ulicy.

Posterunkowy Puczkina stał nawprost banku na swojej placówce. Na krótko przed 3-cią po południu trzy auta podjechały do gmachu bankowego.

Dwa zatrzymały się tuż przed wejściem, trzecie na przeciwległej stronie ulicy. W ostatnim znajdowała się jakaś podobna do latarni maszyna z korbą.

Kiedy około 10-ciu ludzi wysiadło z dwóch aut, z trzeciego wyskoczył mały, żwawy mężczyzna, który podbiegłszy do Puczki i wsuwając mu jakiś dokument — rzekł:

— Towarzyszu-policjancie, macie tutaj dekret z Goskina (państwowe kino). Musimy zrobić natychmiast zdjęcie kinematograficzne z banku. Czekam was dużo niespodzianek... Ludzie będą biegali... Usłyszycie strzały. Ale nie trwóście się... Program tego wymaga. Nie pozwalajcie, proszę was, publiczności zbliżyć się, ażeby nie było wypadku. Dekret miejcie przy sobie, pokazyście go, komu należy, w razie potrzeby.

Puczkina zwrócił się do publiczności:

— Proszę państwa nie zatrzymywać się na ulicy! Iść dalej swoją drogą! Chodzi o zdjęcie filmowe. Hallo! Cofnij się, przyjacielu! Trzeba poczekać! Oho! Panie, z papierosami? Dokąd to? Masz pan pozwolenie na sprzedaż?

— Zaczynamy! — woła żwawy jego-ność.

Wówczas przybyli dwoma autami mężczyźni wsiedli do gmachu bankowego, zamknęli za sobą drzwi. Wśląd za tem rozległ się sygnał alarmowy.

— Dobrze, dobrze! — woła operator filmowy, kręcąc korbą.

Puczkina uspakaja publiczność:

— Sygnał alarmowy jest potrzebny do zdjęcia. Rozejść się! Rozejść się panowie! Może się zdarzyć wypadek, kalectwo! Na bok! Na bok! W Goskinie później będziecie oglądać. Proszę odejść!

Wtem wielka szyba okienna z pierwszego piętra prysła, zielonkawym szliwem pokrywając chodnik. Z okna wychyliła się przerażona twarz ludzka z krzykiem:

— Złoczyńcy!

Ktoś wciągnął człowieka do wewnątrz, poczem rozległy się strzały rewolwerowe.

Operator filmowy zaśmiał się.

— Ma się rozumieć — zawołał Puczkina — że Zarząd kina zwróci cenę szyby!

— Z lichwiarskim procentem! Dziesięć tysięcy Goskino przeznaczyło na koszt filmu. Towarzyszu - posterunkowy, posuń się nieco naprzód. Zakrywajcie mi pole działania. Was już zdejmałem. Nie puszczajcie tylko publiczności. Widzicie ich! Jacy ciekawi! Ludzie tu pracują do upadłego, a oni, bawią się, zagradzają drogę.

— Naturalnie, ludzie nie rozumieją, nie orientują się! — woła Puczkina — a jeśli ich zwymyślać — obraza czci i honoru! No, dalej... dalej...!

W gmachu bankowym ucichło tymczasem. Operator filmowy zatrzymał korbę. Sygnał alarmowy umilkł. Wkrótce potem poczęto z banku małe paczki wynosić i do aut je wrzucać.

Operator filmowy znów zakręcił korbą.

— Drogę oczyścić! — wołał do posterunkowego — Odjeżdżamy wkrótce. Musimy się do drugiego banku spieszyć.

Posłuszny Puczkina ponownie rozpedził publiczność.

— Szerzej! szerzej! Zróbcie miejsce! Nie mamy czasu!

Nagle wybiegł z banku znany kasjer w podartej czapce na głowie, z czerwonymi plamami na twarzy i z portfelem w ręku.

— Puczkina!... — zawołał z całej siły.

Lecz spieszący za nim mężczyźni chwycili go wpół i czarną chustkę narzuciwszy mu na głowę wciągnęli go do banku.

Upuszczony, grubo wypchany portfel jeden z szoferów podniósł i wsunął pod siedzenie w aucie.

— To połów! Połów! — zawył z radością operator, kręcąc żywo korbą.

— Jak kasjer ryczał! — śmiał się Puczkina. — Wspaniałe widowisko!

— Tak, — odparł operator filmowy wesoło — ten film będzie miał nadzwyczajne powodzenie. Chłopcy dzielnie się sprawiają... Istny rabunek bankowy!

— Kasjer fizjonomję sobie czerwonym atramentem posmarował! — zachwycał się Puczkina.

— Inaczej być nie może! Musimy wypadkowi nadać wszelkie pozory prawdy. Tutaj mamy tylko zewnętrzną widok rabunku. W innym miejscu operatorzy robią zdjęcia wewnątrz gmachu. My zaś stąd jedziemy zrobić zdjęcie obrazu po dokonaniu rabunku...

Publiczność gromadziła się coraz liczniej.

Puczkina rozpedzał ją na wszystkie strony, gniewał się, lecz nie mógł dać rady.

Wówczas operator filmowy, kręcąc korbą, zawołał:

— Towarzysze, stańcie, proszę, tam, w kącie! Wezmę was wszystkich na film. Zbliża zdjęcie może mi się nie udać. Proszę na stronę, bardzo proszę!

Publiczność cofnęła się ławą i, operator ją znów korbą kręcił.

W wybitym oknie stańto dwóch z dzięsiaćki, przybyłej autami, wołając:

— Gotowe! Zaraz wracamy! Filmy z ostatniej chwili!

— Jazda! — odrzekł operator, kręcąc energicznie korbą.

— Jak turkocze! — zachwycała się publiczność — niczem ekspres!

Towarzysze operatora, bez pośpiechu, powoli wyszli z banku, wsiedli do aut, a jeden z nich przykleił do drzwi kartkę:

— „Bank zamknięty“.

Żwawy człowieczek jeszcze raz zakręcił korbą, włożył aparat do czarnego futerału, wsadził Puczkinowi do kieszeni białą kopertę, poczem cała kawalkada ruszyła gęsiego, dając bezustannie alarmowe sygnały.

Puczkina wyjął kopertę z kieszeni i stęzał w zdumieniu.

W kopercie znajdowała się paczka czerwoności...

W chwili tej personel bankowy ją ukradkiem przez wybite okno wyglądać.

— Już koniec, odjechali! — zawołał Puczkina, machając do nich ręką.

W banku zakotłowało się; drzwi się otworzyły, personel wypadł na ulicę, i biegnąc ku Puczkinowi, krzyczał w niebogłosy:

— Osiol! Idjota! Bandyci! Mord! Wciągnięto go do banku.

Ujrzał dwóch woźnych, którym kneble z ust wyjmowano i nożyczkami przecinano powrozy.

Nieopodał leżał kasjer, blady, nieprzytomny, we krwi broczący...

— Doktora! Doktora! — wołano.

Wówczas dopiero Puczkina zrozumiał. Pokazując wszystkim wokoło papier Goskina, chwiejnym krokiem i z błędnymi oczami poszedł na I-sze piętro.

Na ławce obok zakratowanego okienka kasowego leżał zamordowany dyrektor...

Przesłuchanie Puczki krótko trwało. Osadzono go na pewien czas w więzieniu, poczem trafił na listę... bezrobotnych! Z czerwoności jednak nie zdradził się. Ukrył je w doniczce z kwiatami.

Nadeszły niebawem dni głodowe. Puczkina wyjął pierwszego czerwoności z kryjówek i oddał go żonie.

Wróciła przerażona za kwadrans, zadowolona żałośnie:

— Wasieńka, ten czerwonec jest fałszywy. Nikt go przyjąć nie chce. Ludzie się śmieją ze mnie. W jednym miejscu zagrozili mi nawet.

Czerwoności spróbowano wymienić w innych dzielnicach miasta. Pięć sztuk udało się Puczkinowi puścić w kurs. Za piątą jednak aresztowano go a doniczkę z resztą czerwoności zabrano.

Teraz posterunkowy Puczkina siedzi w więzieniu; znów jest na utrzymaniu państwa.

Tłum. Jotsaw.



Rok IV.

Łódź, dnia 30 stycznia 1927 roku.

Nr. 5.

## Rozwój życia towarzyskiego w Związkach Zawodowych.



„Herbatka“, urządzona przez Związek Zawodowy Pracowników Miejskich Chrześcijańskiego Zjednoczenia Zawodowego. Zdjęcie nasze przedstawia grupę osób, biorących udział w „herbatce“, która się odbyła w Domu Ludowym przy ul. Przejazd 34.